Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

R. VII 15 WRZEŚNIA 1930 Nr. 18

WIADOMOŚCI KATOLICKIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY IDEOM I SPRAWOM KATOLICKIM

TREŚĆ:

KRAKÓW

DRUKARNIA „WIADOMOŚCI KATOLICKICH"

Walka o dziecko.

Pedagogika nowoczesna rozwinęła się w olbrzymią gałąź wiedzy i nie jest rzeczą łatwą zapoznać się z całokształtem tak metod stosowanych obecnie w nauczaniu, jak teoryj ukrywających się pod metodami, których one są wypływem.

Walka o dziecko, której jesteśmy obecnie świadkami, jest w rzeczywistości walką najróżnorodniejszych światopoglądów. I to jest przyczyną wielkiego rozwoju nauk pedagogicznych i dlatego właśnie we wszystkich prawie krajach mamy zagadnienie szkoły, kwestję szkolnictwa. Pedagogji neutralnej niema i być nie może, pedagogja nie może być neutralna, pisze inspektor Simeons w *La femme belge*, bo natychmiast przestałaby być pedagogją. Pedagogja należy do dziedziny nauk moralnych; a główna siła pedagogji katolickiej leży w tem, że opiera się ona na filozofji katolickiej, która patrzy na wychowanie dziecka z punktu widzenia najogólniejszej prawdy.

Ciężar tego wychowania przeniósł się dziś prawie w zupełności na szkoły i na instytuty wychowawcze. Oczywiście w olbrzymiej różnorodności wymagań i potrzeb życia współczesnego niepodobna sobie dziś wyobrazić wychowania bez szkoły. Ale nie wolno nam zapoznawać, że szkoła z natury swej jest instytucją pomocniczą, że wychowanie jest przedewszystkiem w pierwszym rzędzie obowiązkiem rodziny. Szkoła ma być przedłużeniem działania wychowawczego rodziny, ona ma rodzinę zastępować i jej pomagać. Rodzina, która istnieje na to, by przekazywać życie, by tworzyć ludzi, istnieje więc przedewszystkiem dla dziecka. Stąd obowiązek wychowania dziecka, spadający na tych, którzy mu dali życie, a jeśli obowiązek, to i prawo wykonywania tego obowiązku. Wykluczonem jest, by te same wartości wychowawcze, które dziecko otrzymuje w rodzinie, mogło ono

też otrzymać w żłóbku, ochronce, w szkole. Wszelkie wysiłki, by prawa dziecka wtłoczyć w pewien kodeks praw człowieka, są zupełnie daremne, nie potrafią one nigdy ująć tego, co jest dla dziecka istotne, a czego w formułkę ująć niepodobna. Dziecko potrzebuje nietylko pożywienia, opieki, nauki, ono potrzebuje przedewszystkiem miłości i ta atmosfera miłości, którą jedynie rodzina dać może, stanowi właśnie najpomyślniejszą atmosferę wychowania, atmosferę, w której wyrabia się charakter, kształtuje moralna osobowość dziecka. Braki wychowania rodzinnego, które obecnie tak boleśnie odczuwamy, pochodzą z rozluźnienia więzów rodzinnych, a ofiarą tego rozluźnienia padają przedewszystkiem dzieci: pozbawione radości życia, czystej atmosfery moralnej, zachwiane w wierze, w ideał etyczny, nie wynoszą z domu tego, na czem najlepiej wychowanie budować można. Korzystnych warunków ciepłej atmosfery wychowania rodzinnego nie zastąpią ani najlepsze choćby warunki materjalne, ani najwyższa choćby kultura duchowa. Skutkiem rozluźnienia więzów rodzinnych jest skrzywienie wychowania dzieci, pozbawienie ich przyrodzonej naturalnej opieki, a oddawanie ich całkowite instytucjom, które zmechanizowaniem wychowania atmosfery rodzinnej zastąpić nigdy nie potrafią.

To też hasło uzdrowienia społeczeństwa przez rodzinę rozszerza się coraz bardziej, powstają ligi wychowania rodzinnego, kongresy wychowania rodzinnego. Ostatnio odbył się taki międzynarodowy kongres w Lièges.

Sprawozdanie z niego podajemy w następnym artykule.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES W SPRAWIE WYCHOWANIA RODZINNEGO.

W czwartym międzynarodowym kongresie wychowania rodzinnego, który odbył się w Liège, wzięło udział 42 delegacyj ze wszystkich krajów i części świata, z wyjątkiem Australji. Kongres ten odniósł rekord zupełny nietylko pod względem egzotyzmu, ale i liczby, gdyż liczył on tysiąc uczestników, pięćset obecnych, dwieście sprawozdań.

Pierwsza sekcja pod przewodnictwem p. Decroly, zajęła się metodami nauki, podkreślając z naciskiem rzecz najważniejszą, mianowicie wychowanie wychowawców; rozpatrywano głęboko fizjologję i psychologję dziecka tak normalnego jak nienormalnego; uznała konieczność wydania podręcznika

klasycznego dla rozszerzania kursu pedagogji rodzinnej, jak również poleciła przygotowanie młodzieży do małżeństwa, przygotowania, opartego na znajomości praw dziedziczności fizycznej, psychicznej i moralnej.

Główna idea, która przewodniczyła pracom tej sekcji, zasługuje rzeczywiście na uwagę wszystkich wychowawców. Niema zawodu bardziej szlachetnego, bardziej delikatnego, bardziej trudnego i bardziej podstawowego jak zawód wyrabiania ludzi, i jest on tym jedynym, którego się nie można nauczyć. Czyż można dziwić się wobec tego, że tak wielką jest liczba wykolejonych, chybionych żywotów, i tak wielki wzrost kryminalistów wśród dzieci i młodzieży? Wyobrażać sobie, że dobra wola, zdrowy rozsądek, pamięć o swojej przeszłości, wystarczy by uczynić rodziców i nauczycieli doskonałymi wychowawcami, zwłaszcza w ośrodku współczesnego chaosu idej i niekarności obyczajów, jakież to złudzenie, jakież zboczenie!

Z empiryzmem połączyć trzeba kontrolę techniki i wiedzy pedagogicznej, odnowionej zupełnie przez dane psychologji. Czyż to możliwe, by kultura roślin, hodowla zwierząt, poddane były prawom wypływającym z obserwacji i doświadczenia, a kultura, kształcenie duszy ludzkiej miałyby być zdane na los przypadku! Ileż nieporozumień wywołujących straszliwe zawody możnaby ominąć, gdyby wiedziano, jak się do dziecka zabrać, gdyby w świetle nauki poznano dziecko, które nie jest bynajmniej pomniejszonym człowiekiem, ale jestestwem fizjologicznem i psychologicznem zupełnie odrębnem i charakterystycznem.

Na ten temat wypowiedział specjalista, kanonik Jeanjean, profesor Instytutu katolickiego w Paryżu referat ogólny, który wywarł głębokie wrażenie na wszystkich zebranych. Z obszernego tego tematu przytoczę bardzo ciekawe szczegóły tyczące się dzieci anormalnych. Otóż anormalnych, pod względem myślenia z wyjątkiem idjotów, głupkowatych, zapóźnionych, których rozwój zdaje się być ostatecznie niemożliwy — po większej części można na nowo nauczyć myśleć, pod warunkiem, by ich nie mieszać w szkole z dziećmi normalnemi, ale by stosować do nich specjalne metody. Tak samo przedstawia się sprawa z anormalnymi pod względem charakteru, usunąwszy niektóre wyjątki. Najważniejszem jest, by ich wykryć przy pomocy doświadczeń psychologicznych i badań lekarskich, i to nie czekając na szkołę, lecz jeszcze w rodzinie, udając się do poradni medyczno-pedagogicznych, które znajdują się już prawie wszędzie przynajmniej w większych miastach.

Druga sekcja pod przewodnictwem pani Carnoy była najbardziej uczęszczaną i najbardziej ożywioną. Na jej porządku dziennym znajdowały się następujące kwestje, które zostały wyczerpująco omówione: najlepsze sposoby obrony interesów i praw rodziny, metody praktyczne wychowania religijnego, autorytet w wychowaniu rodzinnem i metody jak go rozwijać, kultura zdrowego rozsądku, metody wyrabiania inicjatywy woli, w celu kształtowania różnych czynników charakteru, problem racjonalizacji w wychowaniu dziecka, korzyści i niedogodności środowiska wiejskiego i miejskiego, poznanie życia kolonjalnego, a nawet wpływ harcerstwa w wychowaniu.

Wszystkie te kwestje zostały gruntownie zgłębione, a zarazem i bar-

dzo szybko, a to dzięki wprowadzeniu systemu sprawozdania głównego, które analizuje i streszcza poszczególne referaty. Można powiedzieć, że z wymienienia tych wszystkich punktów widzenia i z tych dyskusyj, mogłaby wyniknąć prawie cała pedagogja.

Zatrzymując się na najważniejszych rzeczach podnosimy z głębokiem zadowoleniem stwierdzenie pierwszeństwa rodziny, konieczność odrodzenia społeczeństwa na podstawie rodziny w całej jego organizacji, za pośrednictwem praw, rozłożenia ciężarów, rozdawnictwa przywilejów, i t. d. W tym celu postanowiono stworzyć ligi ojców rodzin dla obrony ich praw, a w pierwszym rzędzie związek licznych rodzin. Trzeba, by prawodawca, aż do tej chwili przejęty indywidualizmem, usłyszał pod naciskiem opinji publicznej rozbrzmiewający wszędzie ów okrzyk prawdziwych obywateli: I my też tu jesteśmy.

Wypowiedziano wiele znakomitych uwag, niezmiernie subtelnych i praktycznych o wychowaniu religijnem dziecka przez Ewangelję, Eucharystję, i liturgję, jak również o wyrabianiu charakterów. Zajęto się zwłaszcza specjalnie zagadnieniem autorytetu.

Wobec dążności do rozpatrzenia wszystkich wartości społecznych, zastanawiano się, czy wychowanie pozostaje nadal, według określenia Dupanloup: dziełem autorytetu.

W rozwoju dziecka mamy okres epoki instynktów, w którym konieczny jest przymus zewnętrzny, oraz okres kształtowania sumienia, wymagający autorytetu, ale opartego na zaufaniu. Zajmującą jest rzeczą stwierdzić, że tak jak i opiekunowie, tak i ojcowie nie rozkazują już teraz jak niegdyś. Podczas gdy dawniej autorytet był absolutny, nawet prawie despotyczny, obecnie stał się on konstytucyjnym, nawet w królestwie rodziny. Autorytet niechże będzie giętkim, owszem! Niech szanuje osobowość dziecka bez usiłowania nakładania na nią osobowości sztucznej, fałszywej i przymusowej; niech nie usiłuje zabijać drzewa, odcinając jego gałęzie nawet powichrzone, zamiast praktykować roztropną hodowlę. Jest to zupełnie oczywiste. Że niema autorytetu prawdziwie zbawczego i dobroczynnego bez oparcia go na zaufaniu dziecka, jest to również nie dającą się zaprzeczyć prawdą. Ale czyż zażyłość ma się wyradzać w poufałość, autorytet w koleżeństwo? Odpowiedziano na to bardzo trafnie, ze koleżeństwo niszczy powagę tego, kto rozkazuje, oraz szacunek tego, kto winien sluchać. Pełnomocnictwo boskie, jakiego domaga się słusznie wykonujący władzę nie może stawać się przedmiotem dyskusji. Autorytet przechodzi wszędzie ostry kryzys, winien on znowu odzyskać swoją siłę i nabrać pewności siebie, jest on bowiem podstawą ogniska rodzinnego i społecznego.

O wykonywaniu autorytetu wypowiedziano wiele złotych uwag, zwłaszcza odnośnie do tego, czego nie należy czynić, by go utrzymać. Nie przechodzić od szalonej pobłażliwości do nadmiernej surowości. Nie dawać się opanowywać swojej nerwowości. Nie męczyć dziecka zbytnią ilością uwag. Nie nużyć go zakazami. Nie pozwalać dyskutować o zakazie, co nie znaczy jednak, by niekiedy nie podawać jego przyczyny. Nie ranić miłości własnej młodych w okresie kiedy rozwija się ich męskość i budzi się świadomość

własnej wartości. Nie traktować ich nadal jako dzieci, gdy stali się już ludźmi dorosłymi.

Trzeba natomiast obchodzić się z dzieckiem ze spokojem, miłością okazywaną, ale pohamowaną. Matka może stać się dla swego dziecka jakoby jakąś istotą nadprzyrodzoną, której nie można się oprzeć, której zwierza się z całem zaufaniem. Trzeba wiedzieć czego się chce i chcieć tego konsekwentnie. Trzeba umieć szafować swoją siłą i stopniować jej przejawy, powiększać wartość dziecka w jego własnych oczach i budzić w niem przeświadczenie, że może wiele dokonać. Konieczność spójności pomiędzy rodzicami: wszystko co ich dzieli, potęguje kaprys i samowolę dziecka. Być z niem prawdziwym i szczerym, czuwać nad niem bez podejrzeń, rozwijać jego zaufanie, uprawiać umiejętnie tę najcenniejszą ze wszystkich rzeczy, zaufanie, stanowiące podstawę szacunku.

Trzecia sekcja zajęła się dziełem wychowania przed czasem szkolnym, omawiając jego technikę. Po koleji rozpatrywała ona wychowanie fizyczne przez matkę, wychowywanie zmysłów, uwagi, obserwacji, myślenia, według metod Froebla, powstawanie przyzwyczajeń, przyczyn nieposłuszeństwa, wpływ decydujący pierwszych wrażeń, zabaw, obrazów, towarzyszy zabaw.

Tu również nie brakło ogromnie zajmujących uwag, które wywołały wiele wniosków praktycznych.

Ograniczę się do przytoczenia jednego życzenia, które streszcza w sobie wszystkie prace kongresu. Matki powołane w pierwszym rzędzie do czuwania nad dzieckiem, winny zapoznać się dokładnie z ideami Froebla co do wychowania dzieci w wieku przedszkolnym. Niech zaczną od stania się same uczenicami! Niech uczą się w „Ogródkach dziecinnych“ pod kierunkiem nauczycielek froeblowskich, oglądając bezpośrednio ćwiczenia i zabawy tej znakomitej metody, tak aby każda rodzina mogła stać się ogródkiem dziecinnym w miniaturze, a tem samem i szkołą prawdziwej ludzkości.

Revue catholique des Idées.

O ZGORSZENIU.

Marek IX, 41. „A ktokolwiekby zgorszył jednego z tych maluczkich, wierzących we mnie, lepiejby mu, iżby był uwiązany kamień młyński około szyji jego i był wrzucony w morze“.

Wyraz „gorszyć“ znaczy tu tyle, co „zgorszenie dawać“, „uwodzić“, powód do grzechu dawać“. Ta mowa o gorszycielach jest najsurowszem i najostrzejszem słowem, jakie z ust Zbawiciela kiedykolwiek wyszło. On nawet nieprzyjaciołom swoim śmiercią nie grozi. Ale dla szatana w postaci człowieczej: uwodziciela, nie zna innej kaźni jak nagłą śmierć, i to śmierć, która grzesznika najniezawodniej dławi, najdalej od ludzi usuwa i naj-

dokładniej unieszkodliwia. Ten straszliwy wyrok Zbawiciela niech się najgłębiej w dusze tych wryje, którzy dziś pracują nad uwodzeniem młodzieży i ludzi wogóle; tych, którzy ludziom wierzącym wiarę z serc wydzierają i obyczaje ich psują, czyto mową czy pismem, czy narzucaniem mody, czy przez teatry, kina, bezbożne dowcipy, lekkomyślne miłostki, odchrześcijanienie szkoły czy rodziny. Wszystkim tym sługom szatana lżej byłoby, gdyby im kamień młyński u szyji uwiązano i wrzucono w głębokości morskie. A nieomal wydawaćby się mogło, że dno morskie nie pomieści tłumu tych uwodzicieli, którzy dziś na dusze niewinne nastawiają sieci; co mówi rzymski poganin o swoich dzieciach, da się właśnie najlepiej do naszych czasów zastosować: „uwodzić i dawać się uwieść, oto duch naszych czasów".

Strzeżmy się, abyśmy nigdy żadnej istocie ludzkiej nie stali się zgorszeniem, pokusą lub powodem do grzechu! Bo grzech jest najgroźniejszem złem, jakie na człowieka spaść może.

Nietylko kuszenie czy uwodzenie piętnuje Zbawiciel, ale chce nam przedewszystkiem ohydę grzechu jaskrawo przed oczy stawić; bo uwodzenie bierze swą szpetotę od tego właśnie, co jest uwodzenia celem: od grzechu, a zwłaszcza od grzechu śmiertelnego. Bo grzech śmiertelny ma Chrystus na myśli, skoro karą wieczną grozi; grzech powszedni nie jest potępieniem karany.

Retorycznym i wyrazistym zwrotem przedstawia Pan ludowi istotę grzechu: przedstawia kaźń piekielną, winowajcę czekającą, i opisuje istotę kaźni i jej męki.

Marek IX, 42—48: *„A jeśliby ręka twa gorszyła Cię, odetnij ją: lepiej jest tobie wnijść do żywota ułomnym, niż mając obie ręce, iść do piekła, w ogień nieugaszony; gdzie robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie. A jeśli cię noga twoja gorszy, utnij ją: lepiej jest tobie wnijśc chromym do żywota wiecznego, niż mając obie nogi, być wrzuconym do piekła ognia nieugaszonego; gdzie robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie. A jeśli cię oko twoje gorszy, wyłup je: lepiej jest tobie wnijść jednookim do Królestwa Bożego, niżli mając oba oczy, wrzuconym być do piekła ognistego; gdzie robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie. Albowiem każdy będzie ogniem posolon, a każda ofiara będzie solą osolona".*

Co może być milszem człowiekowi niż członek własnego ciała? A to najmilsze ma on raczej odrzucić, niż grzech popeł-

nić, tego najmilszego wyzbyć się gwałtem bezwzględnym, byleby go do złego nie skłoniło. Ostrzej i wyraźniej trudno grozę i złość przestępstwa określić. A nie mniej na każdym kroku widzimy ludzi, którzy ani tyle męstwa, ani tyle siły woli nie mają, by duszy maleńką ofiarę złożyć, ofiarę nie dającą się ani w przybliżeniu porównać do utraty członka ciała. Ciało i wszystko, co w nas ziemskie, zginie prędzej czy później, dusza żyć ma wiekuiście, a co z nią będzie, jeżeli ze zmazą grzechową z świata zejdzie?

Rozważmy dobrze, kim jest Ten, który powyższe słowa wymówił: Zbawiciel nigdzie nie wyraża się z przesadą, a jeżeli mówił w podobieństwach, wyjaśniał natychmiast przypowieść, o ile nie byłaby łatwo dostępna słuchaczom. Tu przeciwnie, powtarza aż trzy razy zdanie o robaku, który nie zamiera i ogniu, co nie gaśnie, a wyjaśnienia żadnego nie dodaje; ani też słuchacze wyjaśnienia się nie domagają, co zazwyczaj zwykli czynić. Widocznie Pan chce, aby Jego mowę dosłownie brano i słuchacze też biorą ją ściśle za to, czem jest, dosłownie.

Kaźń potępionych jest zatem podwójna: wyrzuty sumienia i męka bezskutecznych już wymówek, które sobie sami robią, oraz niezależny od wewnętrznego stanu duszy zewnętrzny ból ognia. Po śmierci widzi grzesznik niemiłosiernie jasno swoje winy; a wtedy nie otumanią go żadne znieczulające środki, usuwające zgryzoty: ani ułudy wyobraźni własnej, ani życzliwe słowa przyjaciela, ani żadne pociechy pism czy widowisk—wtedy dusza jego pozbawiona ciała i krwi burzliwej i nerwów przeczulonych, stanie w obliczu Boga i pozna jasno: łaknę Boga a nie dostąpię Go! I to dręczące rozeznanie, ten straszliwy wgląd w siebie, jest jej robakiem, który nie obumiera. Nieszczęsny, kto tu na ziemi albo sam siebie łudzi, albo się drugim otumanić daje!

A ten ogień! Na to, że to jest ogień rzeczywisty, taki, jak nasz żywioł ziemski, na to się prawie wszyscy egzegeci zgadzają. I nagą prawdę mówi Zbawiciel, gdy mękę potępionych męką ognia nazywa. Bóg jest nieomylną prawdą, a wykrętne tłumaczenie Jego słów jest szaleństwem. Jeżeli takie słowa Ewangelji, które nam rzeczy pocieszające mówią, przyjmujemy w dosłownem znaczeniu, musimy i te groźne przyjąć w ich pierwotnem a oczywistem brzmieniu.

Ogień wgryzie się w całą duszę i całego człowieka tak przenikliwie, jak potrawę sól przenika. Wniknie we wszystkie pory i nerwy i żyły i ścięgna. Każdy wie, jak dotkliwie oparzenie boli, a czemże ono w porównaniu do ognia piekielnego! Tak bardzo dogadzamy ciału naszemu za życia, czyż je na całą wieczność oddać mamy na pastwę ogniowi niegasnącemu? Nie! Przenigdy! Raczej odrzucić natychmiast i raz na zawsze wszelkie rozkosze i wygody ziemskie!

Niech nas do głębi przeniknie sól gorliwości o zbawienie wieczne! Bo kto raz stracił poczucie, że przedewszystkiem o duszę a nie o ciało mamy dbać tu na ziemi, ten już stracony i piekłu na łup wydany. Chrystus sam nam to mówi!

Marek IX, 49: *„Dobra jest sól; ale jeśli sól nie słona będzie, czemże ją osolicie? Miejcież w sobie sól, a pokój miejcie między sobą!“.*

Jest bardzo znaczącem, że Zbawiciel tę naukę o czujności nad sobą łączy z napomnieniem o wzajemnej miłości między ludźmi. Każde staranie o dobra wiekuiste musi bezwarunkowo iść w parze z miłością bliźniego, o ile ma mieć wartość w oczach Boga.

wedł. Ks. Wiesebacha, z rozmyślań nad Ewangelją św. Marka.

PONIŻENIE KOBIETY W ROSJI.

Przeciw rodzinie i moralności, którą nazywa moralnością burżuazyjną, skierował rząd sowiecki gwałtowne ataki. Straszliwym jest też upadek moralny w kraju Sowietów. Hr. Kokovtzoff w *Revue des deux Mondes*, opisuje to bagno. Kodeks z 1918 roku ogłosił absolutną wolność rozwodu, uznając jednak małżeństwo cywilne; kodeks z 1926 roku usunął obowiązek zapisywania małżeństwa do rejestrów urzędowych, poligamja i jej najgorsze następstwa są uważane za przesądy burżuazyjne.

Łatwość z jaką zawiera się związki małżeńskie według kodeksu sowieckiego, odpowiada łatwości z jaką one się rozwiązują. Każdy z małżonków może w każdej chwili rozwiązać małżeństwo, gdy tylko zechce, wystarczy w tym względzie wyrazić swoje życzenie. Wszelkie formalności są tu zbyteczne: proste zerwanie stosunków pomiędzy małżonkami stwierdza, że nie są oni już małżeństwem. Artykuł 18 kodeksu powiada, że małżeństwo może być rozwiązane zarówno na mocy obopólnej zgody, jak również na życzenie jednego z małżonków. Rozwód i małżeństwo mogą być zapisane urzędowo w aktach cywilnych, według 19 artykułu kodeksu, ale jest to nie

obowiązkowe lecz dowolne. W ten sposób, gdy rozchodzi się nawet o małżeństwo zapisane urzędowo, nic nie dowodzi, że trwało ono jeszcze nazajutrz po zapisaniu, gdyż mogło zostać rozwiązane bez zapisania. Nic nie wykazuje lepiej kruchości i niestałości „małżeństwa sowieckiego".

Czyż można rzeczywiście mniemać, że podobne rozporządzenia przedsięwzięte zostały w interesie kobiety, dla zachowania jej niezależności, wolności i godności? Weźmy wypadek kobiety zupełnie niewinnej: nie rozporządza ona żadnym środkiem mogącym przeszkodzić zerwaniu małżeństwa dla kaprysu męża. Pojęcie „błędu" jest usunięte z kodeksu rodziny sowieckiej. Żona lub mąż, który nie chce się rozwieść, jest do tego zmuszonym, jeśli takie jest życzenie drugiej osoby. Jeśli można wierzyć Goichbargowi, rząd sowiecki nie chciał zrywając dawne więzy, nakładać małżonkom nowych więzów... Któż nie spostrzeże poza tą fałszywą wolnością, barberzyńskiej i tragicznej rzeczywistości?

Łatwo zgadnąć, że ten kruchy i przelotny związek nie może nakładać wielkich zadań i obowiązków małżonkom. Faktem jest też, że te obowiązki ograniczają się prawie do minimum. Obowiązek zapewnienia utrzymania i to jeszcze w bardzo niepewnych warunkach, jest jedynym, jaki kodeks nakłada na małżonków. Nie nakłada on jednak na nich ani obowiązku wspólnego mieszkania, ani wierności wzajemnej. Małżonkowie mogą mieszkać osobno i pozostają zaślubionemi nie prowadząc wcale wspólnego życia. Ani prawo karne, ani kodeks rodzinny, nie uznają zbrodni zdrady małżeńskiej. Artykuł 9 kodeksu głosi całkowitą wolność i równość małżonków odnośnie do życia wspólnego, mieszkania i zajęć. Z innej strony znowu, każde z małżonków może zachować własne nazwisko rodzinne i swoją narodowość.

Co się tyczy zarządu majątkiem, kodeks zatrzymuje tradycyjną zasadę dawnego prawodawstwa o rozdziale dóbr małżonków, ale tylko dóbr, które posiadali małżonkowie przed zawarciem małżeństwa. W rzeczywistości przyjmuje on zasadę wspólności nabytych dóbr, „małżeństwo, oświadcza kodeks, jest związkiem dwóch pracujących, w którym niemożliwą jest rzeczą określić ściśle, które wartości zostały wniesione dla wspólnego użytku i przez kogo zostały wniesione".

Słowa „rodzina", instytucji czysto burżuazyjnej, którą usiłuje się właśnie znieść, nie wymienia się ani w tekście, ani w tytułach kodeksu. Niema też żadnej wzmianki o dzieciach w tej części kodeksu, która mówi o małżeństwie i rozwodzie. Kwestja stosunków pomiędzy rodzicami a dziećmi jest zupełnie niezależną od samej kwestji małżeńskiej: mało znaczy charakter związku, który spowodował urodzenie. Sam fakt wystarcza do ustalenia pokrewieństwa, a poszukiwanie ojcostwa dozwolone jest bez wszelkiego ograniczenia. Te zasady podstawowe kodeksu z 1926 roku wieńczy artykuł 25, który oświadcza: „Prawa wzajemne rodziców i dzieci mają za podstawę pokrewieństwo krwi". Co się zaś tyczy dowodu ojcostwa, wypływa on z aktu urodzenia, lub z oświadczenia matki, lub wreszcie w razie sporu, z orzeczenia sądowego.

Główna troska prawodawstwa bolszewickiego polega na usunięciu dzieci z pod wpływu rodziców. Jego stałym celem jest staranie, by rodzice nie mogli sprzeciwiać się wychowaniu swoich dzieci według idej komuni-

stycznych. W ten sposób autorytet rodzicielski został zniesiony. Rodzice nie mogą niczego narzucić swoim własnym dzieciom, ani nałożyć na nich najmniejszej jakiejś kary w celu poprawy. Artykuł 23 oświadcza, że „prawa rodziców wykonywane być mają jedynie w interesie dziecka“, a artykuł 14 dodaje, że rodzice winni opiekować się swojemi małoletniemi dziećmi, czuwać nad ich wychowaniem i nad ich przygotowaniem do „pożytecznej działalności społecznej”.

Kobieta rozwiedziona nie ma żadnych praw: mąż obowiązany jest zapewnić jej utrzymanie tylko w ciągu jednego roku i tylko w razie gdy jest ona ubogą lub niezdolną do pracy i gdy on znajduje się w położeniu pozwalającem mu pomóc swojej dawnej małżonce (artykuł 14 kodeksu). Artykuł 42 kodeksu powiada: „Rodzice są obowiązani dawać utrzymanie dzieciom małoletnim, dzieciom ubogim i niezdolnym do pracy”. Tak być winno do pełnoletności dzieci (artykuł 41), którą kodeks ustala na lat ośmnaście. W wypadku rozwodu i w braku zapisanej ugody pomiędzy rodzicami sąd oznacza, czy matce czy ojcu przyznana będzie opieka i wychowanie dzieci i w jaki sposób rozłożone będą ciężary ich utrzymania.

Opieka ta czysto teoretyczna jest zupełnie zwodniczą. Uprzytomnijmy sobie, że pod władzą kodeksu z 1926 roku poligamja nie jest karaną i że nie czyni się żadnej różnicy pomiędzy dziećmi urodzonemi w małżeństwie zapisanem, a dziećmi urodzonemi z przypadkowego związku. Prawo poszukiwania ojcostwa jest absolutne, żądanie utrzymania dla kilku dzieci urodzonych z kilku różnych związków mogą być nie do pogodzenia. Dziecko znajdzie się najczęściej wobec ojca, który nie będzie w możności łożenia na jego utrzymanie. „Jestem — pisał w 1926 roku, w dzienniku *Krasnoje Prikamie*, niejaki Fomin, — człowiekiem jak wielu innych. Uległem siłom natury. Wynikiem tego jest 118 żon z wolnych związków, a obecnie 119 małżeństwo zapisane. Cóżby się stało gdyby te 118 żon chciało dochodzić swoich praw nademną i przyprowadziły ze sobą swoje dzieci“?

Rezultatem, do którego prowadzi z konieczności zniszczenie rodziny i obniżenie małżeństwa do poziomu konkubinatu, jest zupełne opuszczenie dzieci.

Nie mniej groźne są następstwa prawodawstwa sowieckiego w dziedzinie moralności. Prawdę powiedziawszy, trudno jest zbadać dokładnie wpływ kodeksu rodzinnego w Sowietach na poziom moralności w kraju. Jakie przyjąć przesłanki? Czy liczbę rozwodów? Wiemy jednak, że według kodeksu z 1926 roku rozwód jest legalny, nawet gdy nie jest zapisany; liczba zapisanych rozwodów, która jedynie mogłaby tu tylko służyć za statystykę, nie może stanowić dostatecznej podstawy, gdyż liczba rozwodów niezapisanych jest o wiele wyższą od liczby rozwodów zapisanych. Czy liczba dzieci naturalnych? Wiemy jednak także, że rząd sowiecki nie czyni żadnej różnicy pomiędzy dziećmi urodzonemi z małżeństw zapisanych, z małżeństw nie zapisanych i ze związków przelotnych. Liczba dzieci opuszczonych? I tu statystyka nie może nic nam powiedzieć, gdyż nie zapisuje ona i nie układa w kategorje dzieci według przyczyn, które spowodowały to opuszczenie. Jakkolwiek jest i jakkolwiek tylko fragmentaryczne są wiadomości

dostarczane przez wykazy statystyczne, dają one pomimo wszystko przerażający obraz zniszczenia, dokonanego przez prawodawstwo sowieckie.

Według ostatnich danych urzędowych, przedrukowanych przez jeden z dzienników rosyjskich z dnia 24 czerwca 1930 roku, na tysiąc małżeństw, których małżonkowie mieli lat ośmnaście i więcej, rozwodów w ciągu ostatniego roku było 200; zaś 160 rozwodów przypada na 1.000 małżeństw, których małżonkowie liczyli 16 do 17 lat. Cyfry te są jeszcze bardzo dalekie od rzeczywistości. Faktycznie liczba rozwodów jest daleko większą. Według ankiety jednego dziennikarza, wysłanego przez „Zjednoczoną prasę Ameryki“, ogłoszonej w dzienniku *New York Herald* z 22 stycznia 1929 r., na pięć małżeństw przypadało cztery rozwody (od 1 stycznia do 1 października 1929 roku w Moskwie było 16.437 rozwodów na 20.423 małżeństw).

Te częste rozwody pociągają za sobą inne zło, a mianowicie to, które opisaliśmy w artykule: „Piekło dzieci”. Dzieci pozostawione na ulicy, tworzące rodzaj dzikich band, stanowią jedną z najhaniebniejszych klęsk systemu Rosji sowieckiej. Podczas dyskusji nad projektem kodeksu z 1926 r. w centralnym komitecie wykonawczym, posłanka Passynkowa wyraziła się w następujący sposób: „W tych ostatnich czasach zarówno mężczyźni jak kobiety posuwają się za daleko. Niektórzy mężczyźni mają aż dwadzieścia żon; z jedną żyją tydzień, z drugą dwa tygodnie, a z każdego związku jest dziecko. Trudno tego rodzaju rzeczy tolerować. Nie mogą oni zdobyć się na utrzymanie tak licznego potomstwa. Dzieci zatem pozostawiane są na ulicy, i tu leży przyczyna „dzieci opuszczonych”.

Liczba dzieciobójstw bardzo wysoka w państwie Sowietów, jest wynikiem wadliwego ustroju tego nieszczęsnego prawodawstwa. Według ankiety Popova, profesora medycyny na uniwersytecie smoleńskim, w 1909 roku w Rosji było 376 dzieciobójstw, podczas gdy w państwie sowieckim liczba ich podniosła się z 461 w 1923 roku, do 664 w 1924 roku i do 1.200 w roku 1925. Ogromnie wysoki procent 6·7 dzieciobójstw na 10.000 urodzin podnosi się jeszcze w wielkich miastach, tak, że w Moskwie było ich 9·6 procent w roku 1925 i 14·5 procent w 1926 roku. Hańba i nędza, których winę ponosi rząd sowiecki, doprowadzają wiele matek do mordowania własnych dzieci.

Poprzestańmy na przytoczeniu tych faktów. Hr. Kokovtzoff opisuje bagno sowieckie, zwierzęce rozwydrzenie młodzieży komunistycznej, dzikość nowych obyczajów i upodlenie kobiety, której położenie stało się w Rosji strasznem. *La Croix.*

Z LOURDES.

Doroczna narodowa pielgrzymka francuska do Lourdes powróciła do Paryża. Chorzy, jadący „białym pociągiem“ przybyli jak opowiada korespondent *La Croix*, z radosnym śpiewem *Magnificat*, płynącym ku niebu z ust wszystkich chorych i zdrowych pielgrzymów.

Podróż odbyła się w doskonałych warunkach. Dzięki karnemu zapałowi pielęgniarzy szpitala Zbawienia, wspomaganym przez zastęp harcerzy, przewożenie i umieszczanie chorych z białego pociągu, jak i z innych 18 pociągów pielgrzymki narodowej, które opuszczały Lourdes w końcu sierpnia między 14 a 20 godziną wieczorem, odbyło się w jak najlepszym porządku, wśród modlitwy i powszechnej radości. Stałym bowiem faktem, który zauważyłem tak tego roku jak i lat poprzednich, nietylko przy wyjeździe z Lourdes, ale i w ciągu całej powrotnej podróży, są promieniujące twarze wszystkich. „Nie zostałam uzdrowioną, — powiedziała mi jedna młoda dziewczyna leżąca na noszach, — nawet nie czuję się lepiej fizycznie, ale zdobyłam u Matki Boskiej taki zapas zdrowia moralnego, że nie żądam już więcej, i podejmuję życie trochę ciężkie bezwątpienia, zupełnie pocieszona“. Jestem pewny, że tego rodzaju uczucie napełniało wszystkich moich towarzyszy podróży, nawet najbardziej dotkniętych chorobą.

Pozatem w tym roku Najświętsza Panna nie szczędziła łask pielgrzymce narodowej. Przed wyjazdem z Lourdes udałem się do biura sprawdzań, gdzie powiedziano mi i gdzie mogłem sam zobaczyć na własne oczy nieprzerwany zastęp chorych, przybywających do biura, by stwierdzić swoje uzdrowienie. Bezwątpienia, pewna ilość z pośród nich podlegała złudzeniu. Jednakże, jak oświadczył mi jeden z lekarzy, kilka wypadków poddanych zostanie zbadaniu, zostaną one ogłoszone w przyszłym roku, w tym samym czasie, jak obecnie ogłoszone zostały wypadki panien Margerie, Chauvin i Trolong, uzdrowionych w czasie pielgrzymki narodowej w 1929 r.

Pozatem wielu chorych z najróżnorodniejszych przyczyn, nie przedstawiło się w biurze sprawdzań. Gdy biały pociąg zatrzymał się dłuższy czas wieczorem na stacji Puyoo, pozwalając zaopatrzyć chorych w żywność, wezwał mnie dobry ks. Chardon, który każdego roku poświęca się z zapałem służbie w wagonie mężczyzn; „Niech Pan zobaczy — powiedział on do mnie, — jak Matka Boska obdarowała nas swemi łaskami. Zdrowie ośmiu z naszych chorych polepszyło się znacznie. Ten, którego pan widzi chodzącego zupełnie normalnie, nie mógł już od miesięcy zgiąć nogi. Ten, który stoi we drzwiach, leżał od kwietnia“. I w tejże chwili ks. Chardon zawołał do niego: „Poczekaj pan, pomogę ci zejść“, chcąc usłyszeć odpowiedź: „Zejdę zupełnie dobrze sam, Ojcze Dobrodzieju“. I potwierdzając te swoje słowa czynem, wyskoczył na peron i zaczął wesoło na mnie spoglądać. Tego rodzaju widoki zobaczyłem także i w innych wagonach, nietylko w wagonie ks. Chardon, tego samego rana, gdy pociąg zatrzymał się przez godzinę na stacji Aubrais. Matka Boska, powtarzam raz jeszcze, obdarowała specjalnemi łaskami pielgrzymkę narodową. Kiedy lekarze, w odpowiedniej chwili, ustąpią ze swego bardzo słusznego i mądrego stanowiska ostrożnych obserwatorów, wszyscy przekonają się o tem.

Mówię tu tylko o łaskach, których, że się tak wyrażę, można dotknąć palcami. Niech każdy jednak będzie przekonany, że najliczniejszemi i może największemi łaskami są te, które przemieniają dusze, i które, wszystkie mniej lub więcej, pozostają ukryte. Zebrałem w tym względzie liczne i znamienne świadectwa. Dowiedziałem się w ciągu powrotnej podróży od jednego kapłana, który w czasie pielgrzymki narodowej przepędzał całe

dnie w konfesjonale, że powroty do Boga były liczne i nieraz bardzo wzruszające. Ludzie tego nie widzą, a jednak, czyż może być cenniejsze uzdrowienie nad uzdrowienie duszy?

Biały pociąg powrócił ze swymi chorymi, a choć nie wszyscy zostali uzdrowieni, wszyscy zostali jednak pocieszeni. Na peronie dworca kolejowego Auterlitz tłumy oczekiwały swoich krewnych i przyjaciół. Nie widziałem na ich twarzach nawet najmniejszego śladu zawodu lub rozczarowania, gdy zobaczyli tych, po których przybyli, w takim samym stanie zdrowia w jakim odjechali. Pielgrzymi bowiem promieniowali takiem zadowoleniem, a niekiedy i szczęściem, że to zadowolenie, to szczęście udzielało się i innym. Słyszałem jednak także i okrzyki radosnej niespodzianki matek, ojców, żon, mężów i dzieci, na widok licznych i oczywistych polepszeń zdrowia. Módlmy się, by Matka Boska udzielała nam nadal swoich dobroczynnych łask.

DUCHOWY I SPOŁECZNY ROZWÓJ WŁOCH.

To, co obecnie dzieje się w Rzymie, i wogóle w całych Włoszech, zasługuje na baczną uwagę. Upłynęło już prawie dziesięć lat od chwili głębokiego przełomu, jaki się dokonał w dziedzinie nietylko politycznego, ale i duchowego i społecznego życia, tak, że można już obecnie zdać sobie sprawę z ogólnego stanu rzeczy i przewidzieć dalszy ich rozwój.

Jak wiadomo, pisze *Stimmen der Zeit*, w ciągu lat rewolucyjnych (1919—1922) nie brakowało smutnych wypadków. Były to ciężkie czasy, prowadzono zacięte, krwawe walki za i przeciw bolszewizmowi i faszyzmowi, a dwuznaczne, gwałtowne żywioły usiłowały, jak to zwykle bywa w podobnych wypadkach, wypłynąć i wyzwolić się z pod wszelkiej władzy.

Ale należy stwierdzić, że równolegle z organizacją nowego państwa i zakładaniem jego podstaw (1923—1925), owe niepokojące żywioły występowały coraz słabiej i rzadziej, aż wreszcie zupełnie zniknęły. Natomiast miejsce ich zajęły powoli owe radosne fakty, które przytaczamy ściśle według słów hr. Franciszka Pacelli, zasłużonego brata obecnego kardynała sekretarza Stanu, wypowiedzianych w przemówieniu z okazji siódmego społecznego Tygodnia włoskich katolików w Rzymie (14 września 1929):

1) Krucyfiks zawieszony został ponownie we wszystkich szkołach publicznych, salach sądowych i t. d.

2. Naukę katechizmu zaprowadzono znowu we wszystkich szkołach ludowych i średnich;

3. Szkoły prywatne (pozostające prawie wyłącznie pod kierownictwem zgromadzeń religijnych) zrównano pod każdym względem ze szkołami państwowemi;

4. Katolicki uniwersytet Najświętszego Serca w Medjolanie został upaństwowiony i otrzymał prawo udzielania uznanych prawnie dyplomów;

5. Wszystkie święta Kościoła katolickiego zostały ustawowo zatwierdzone;

6. Z masonerją rozpoczęto ostrą walkę, a jej wielki mistrz Torrigiani został skazany na wygnanie.

„W ten sposób, ciągnął hr. Pacelli, przygotowała boża Opatrzność pomyślne warunki dla rozwiązania kwestji rzymskiej“.

W międzyczasie utworzono komisję, do której obok wybitnych prawników, powołano również i trzech rzymskich duchownych, w celu usunięcia antikościelnego prawodawstwa i zastąpienia go innem.

Gdy jednak logicznie mogło to być tylko możliwem po przywróceniu całkowitego pokoju pomiędzy państwem a Kościołem, rozpoczęły się tajne układy, które trwały dwa i pół lat, aż do chwili uroczystego podpisania traktatu laterańskiego w dniu 11 lutego 1929 roku, który rozwiązał nietylko kwestję rzymską i zapewnił Kościołowi zupełną wolność i niezależność, ale zatwierdził również znany konkordat, który — według słów Papieża — „przywrócił Włochom Boga”.

Konkordat ten przyniósł znowu prawodawstwu i zwyczajom ludowym ślub religijny jako (dla katolików jedyne) prawnie ważne zawarcie małżeństwa, nowe uregulowanie prawa kościelnego, całkowite odrodzenie szkoły, uznał katolicyzm za religję państwową i zatwierdził Akcję katolicką.

Świetne następstwa tego wszystkiego przejawiają się we wszystkich dziedzinach życia, przedewszystkiem jednak w dziedzinie życia religijnego.

„Trzeba sobie tylko przypomnieć, — mówił hr. Pacelli, — czem była szkoła średnia za naszych czasów; lekceważyła ona zupełnie religję; nauczyciel filozofji zamącał umysły uczniów melancholijnemi teorjami Kanta, nie znał zaś zupełnie Platona, Arystotelesa, Augustyna i Tomasza; nauczyciel przyrody podawał jako pewniki zupełnie nienaukowe teorje Darwina; nauczyciel literatury wykładał obszernie i przekręcał te pieśni Dantego, które przedstawiały niektórych papieży w piekle, nie miał natomiast już czasu na objaśnianie pieśni o niebie; wreszcie nauczyciel historji przedstawiał papieża z naciskiem jako wiecznego wroga Włoch. Trzeba pomyśleć tylko o tem wszystkiem, a będzie się miało dostateczny powód do składania tysiącznych dziękczynień Bogu i do wdzięczności za pasterską troskliwość Papieża i za dobrą wolę Duce, że ta nowa szkoła publiczna we Włoszech, która dawniej stanowiła niejako tylko pułapkę, obecnie rokuje najlepsze nadzieje wykształcenia młodzieży nietylko pod względem kulturalnym, ale i pod względem religijnym i moralnym”.

Wykształcenie młodzieży stanowiło bowiem ten ostatni punkt, co do którego po długiej polemice przyszło wreszcie do zgody, gdyż tak Kościołowi jak państwu dobre wychowanie przyszłych pokoleń leżało bardzo na sercu. Wreszcie znaleziono rozwiązanie w kwestji harcerstwa (głównie bowiem o nie się rozchodziło), rozwiązanie oparte na współpracy, gdyż wśród setek tysięcy młodzieńców, należących do legionów Balilla, pracuje około 600 kapłanów.

Z RZYMU.

Głównym tematem, jakim zajmowały się w ostatnich tygodniach kościelne koła Włoch było obowiązujące nauczanie religji w szkołach średnich. Specjalny kongres rozpatrywał metody tego nauczania, a dziennik *Osservatore Romano* kilkakrotnie omawiał tę kwestję. Obecnie po przemówieniu Ojca świętego i po uchwałach Kongregacji odnośnie do nauczania religji we włoskich szkołach średnich, sprawa ta została roztrzygniętą. Kongregacja zaznacza, że tylko ci uczniowie mogą być zwolnieni od nauki religji, których rodzice lub opiekunowie na początku roku szkolnego wniosą pisemne podanie do dyrekcji zakładu z prośbą o zwolnienie od tej nauki. Uczniowie i uczenice zakładów i internatów, pozostających pod kierownictwem kapłanów i zakonów, nie mogą zostać zwolnieni od pobierania nauki religji. W każdej klasie szkoły średniej ma zostać wyznaczoną na naukę religji godzina w tygodniu; za książki do nauki mogą służyć tylko podręczniki zatwierdzone przez Kongregację i episkopat danej diecezji. Mianowaniem kapłanów, zakonników lub też osób świeckich na nauczycieli religji mają zajmować się biskupi w porozumieniu z kierownikami szkoły. Prawo nauczania religji udzielane będzie corocznie, i kontrakt ten będzie mógł być każdej chwili rozwiązany przez biskupa. Metoda nauczania religji odznaczać się będzie musiała jasnością i dokładnością z wykluczeniem wszelkich form polemicznych; dyskusje z uczniami są niedopuszczalne, mogą oni tylko pisemnie przedstawiać swoje wątpliwości.

Ojciec św. przyjął w dniu 22 sierpnia b. r. 200 kapłanów ze środkowych Włoch, którzy przybyli do Rzymu na kurs nauczania religji w szkołach średnich. Przy tej sposobności mówił Papież o nauce religji w szkołach średnich. Żądał on od nauczycieli religji, by zdawali sobie dokładnie sprawę z poziomu umysłowego swoich uczniów i podawali im przedmiot nauki w możliwie najprostszy i najprzystępniejszy sposób, unikając wszelkich ciężkich, naukowych pojęć. Dzieła: „Komedja Boska“ Dantego i „Uwagi o moralności katolickiej Manzoniego“ stanowić mogą cenną pomocniczą literaturę przy nauce religji. Ojciec św. zakończył swoje przemówienie następującem ostrzeżeniem: „Gdy stoicie przed gromadą waszych uczni, winniście wśród was widzieć Jezusa Chrystusa i Jego Kościół, mówiących do was: „In manibus tuis sortes meae!” (W twoich rękach spoczywa mój los).

Obecnie we Włoszech wakuje przeszło dwadzieścia stolic biskupich; niektóre z nich są niezajęte już przeszło od dwóch lat. Przy wprowadzaniu w życie Konkordatu, żądającego dostosowania granic diecezyj do granic politycznych prowincyj, nastąpi znaczne zmniejszenie liczby stolic biskupich. Jakie stolice biskupie zostaną zniesione ustali dopiero Konsystorz, który rozpocznie swoje zebrania w październiku.

Dziennik *Osservatore Romano* z 16 i 17 sierpnia b. r. donosi, o cudownem uzdrowieniu w Rzymie 26-letniej zakonnicy, Anny Marji, cierpiącej na gruźliczne zapalenie opon mózgowych, przez Matkę Boską z Lourdes. Lekarze uznali stan jej za beznadziejny i spodziewali się rychłej jej śmierci lub przynajmniej stałej ślepoty i niedołęstwa. W dniu święta Wniebowzię-

cia Matki Boskiej uczuła nagle siostra Anna, że jakaś chłodna ręka dotknęła jej czoła; i ujrzała ona postać Matki Boskiej w niebieskim płaszczu i w koronie z gwiazd, stojącą przy swoim łóżku. Po zniknięciu zjawiska gorączka ustąpiła, siostra odzyskała wzrok i leczący ją lekarz uznał ją za zupełnie zdrową.

Osservatore Romano ogłasza dekret św. Officium o chińskim kulcie przodków. Zakorzeniony głęboko w sercach Chińczyków kult przodków przedstawiał zawsze specjalne trudności dla katolików chińskich. Wkońcu XVII wieku odbywały się gorące debaty nad tem, czyby nie dozwolić katolikom chińskim przynajmniej na zachowanie kultu przodków w zmienionej formie, a mianowicie na obchodzenie pewnego rodzaju świąt poświęconych czci zmarłych członków rodziny. Kongregacja św. Officium wydała jednakże w 1710 roku dekret zabraniający wszelkich dalszych dyskusyj o przyjęciu kultu przodków. W najnowszych czasach zagadnienie to stało się znowu aktualnem, gdyż w wielu miejscach sądzono, że pominięcie milczeniem kultu przodków przez nowe księgi prawa kościelnego oznacza, iż dawny dekret z 1710 roku już nie obowiązuje. Zapytywane w tej kwestji św. Officium oświadczyło, że dekret z 1710 r. zawsze jest ważny. Ojciec św. potwierdził to orzeczenie i nakazał je ogłosić.

Trzęsienie ziemi, które miało tak straszliwe następstwa, odczuto w Rzymie tylko bardzo słabo, i chociaż gwałtowniejszego wstrząsu doznała Kampanja rzymska, nie było tam na szczęście straty w ludziach. Niezwłocznie zrozumiano powagę nieszczęścia i przedsięwzięto odpowiednie środki ratownicze, by udzielić możliwie największej pomocy nawiedzonym okolicom. Ojciec św., wzruszony głęboko, przesłał swoje błogosławieństwo apostolskie ludności owych okolic, oraz wyrazy najgłębszego współczucia w jej nieszczęściu.

Dziekanem św. Kolegjum został mianowany w miejsce zmarłego kardynała Vanutellego kardynał Granito Pignatelli di Belmonte. Nowy dziekan, który dotychczas był wice-dziekanem, liczy 79 lat; przed swoim powołaniem do św. Kolegjum (1911 r.) był on biskupem tytularnym Edessy oraz nuncjuszem w Wiedniu. W 1915 roku został biskupem kardynałem i jako taki otrzymał biskupstwo Albano. Jest on po Papieżu najwyższym dostojnikiem Kościoła, do jego zadań należy przemawianie przy wszystkich ważniejszych okolicznościach w imieniu Ojca św., jak również kierowanie wyborem papieża i po dokonanym wyborze zapytanie nowo wybranego papieża, czy przyjmuje swój wybór. Jako obecny biskup z Ostji musi on udzielać nowemu papieżowi święceń biskupich, o ile ich jeszcze nie otrzymał. Jest on także członkiem następujących kongregacyj: Kongregacji Rady, Obrzędów, liturgji i nadzwyczajnych spraw kościelnych.—Obecne kolegjum kardynalskie składa się po nowych mianowaniach z dnia 30 czerwca 1930 z 63 członków: 31 Włochów i 32 cudzoziemców. Dwóch z owych kardynałów mianował jeszcze Leon XIII, jedenastu Pius X, siedemnastu Benedykt XV, pozostałych zaś Pius XI. Zagraniczni kardynałowie należą do następujących narodowości: 7 Francuzów, 4 Hiszpanów, 4 północno-Amerykanów, 4 Niemców, 2 Austrjaków, 2 Polaków, 1 Anglik, 1 Portugalczyk, 1 Holender, 1 Węgier, 1 Irlandczyk, 1 Czech, 1 Brazylijczyk, 1 Belg i 1 Kanadyjczyk.

UROCZYSTOŚCI W BUDAPESZCIE.

Przez kilka dni żyły Węgry w atmosferze czysto duchowej; najważniejsze zagadnienia doby obecnej zostały jakoby usunięte, ustępując miejsca wielkim tradycjom religijnym przeszłości. Tradycje te, sięgające początków narodu, i wiara chrześcijańska, którą zaprowadził pierwszy ich król, natchnęły Węgrów uczuciami, które przejawili obecnie, składając hołd temu królowi i jego synowi, który był pierwszym świętym swojego rodu.

W celu uczczenia dziewiątego stulecia śmierci młodego księcia odbyły się te wielkie uroczystości religijne na Węgrzech, które obchodzono ze zdumiewającą jednomyślnością.

Dla uświetnienia uroczystości przysłał Ojciec św. do Węgier swego legata, J. E. kardynała Sincero, który opuścił Rzym 16 sierpnia. W Trieście powitała kardynała delegacja węgierska i towarzyszyła mu w dalszej drodze; na granicy węgierskiej w Nagy-Kanizsa odbyło się wspaniałe przyjęcie i gdy legat papieski przemówił w języku węgierskim, wyrażając swoją radość, że został wybrany przez Papieża na legata do Węgier, ogromny entuzjazm ogarnął tłumy; obecni uklękli i otrzymali błogosławieństwo kardynała; gdy pociąg oddalał się, wagon legata był tak okryty kwiatami, iż zdawał się być jednym olbrzymim bukietem.

Przybycie do Budapesztu było wspaniałym triumfem i przypominało odjazd nuncjusza apostolskiego Mgr. Orsenigo. Hr. Karolyi oddał do rozporządzenia kardynała Sincero swój pałac, który został otoczony strażą honorową. Legat udał się odrazu do bazyliki św. Stefana, by odczytać tam pismo Ojca św., mianujące go delegatem. Następnie podejmował go urzędowo admirał Horthy, regent Węgier.

W niedzielę 17 sierpnia odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika wzniesionego ku czci św. Emeryka; pomnik ten ofiarowała arcyksiężna Izabella. Postać młodego księcia z bronzu otaczają figury alegoryczne. Kardynał Seredi pobłogosławił pomnik w obecności legata, regenta Horthy, i wysokich dostojników urzędowych, biorących udział w uroczystościach. Tego samego dnia wydał regent śniadanie na cześć kardynała legata.

Najpierw przybył kardynał Bourne, arcybiskup Westminsteru, potem kardynał legat w towarzystwie kardynała Lavitrano, arcybiskupa Palermo; następnie przybywali kolejno kardynał Hlond, prymas Polski, kardynał Piffl, arcybiskup Wiednia, kardynał Faulhaber, arcybiskup Monachjum, Mgr. Seipel, dawny kanclerz Austrji, biskup Szeptycki ze Lwowa, i wielu innych. Oprócz tych znakomitych gości przybyło do Budapesztu 200.000 cudzoziemców, nadając mu wygląd miasta kosmopolitycznego.

Wtorek 19 sierpnia był dniem kulminacyjnym uroczystości, poświęconych czci św. Emeryka. Żaden kościół nie mógł pomieścić niezmiernego napływu wiernych, i dlatego nabożeństwo musiało się odbyć na wolnem powietrzu, na płaszczyźnie Vermezoe, u stóp góry św. Gerarda w Budzie.

Wzniesiono wspaniale ozdobiony ołtarz; tron legata i fotele kardynałów okrywały baldachimy; dla osób urzędowych wzniesiono namioty. Od najwcześniejszego ranka tłumy napływały ku Budzie, wszystko tak wzorowo zostało zorganizowane, że bez najmniejszej trudności delegacje zajęły swoje

miejsca, i gdy srebrne trąby ogłosiły przybycie legata, orszak rozwinął się w całej swojej okazałości. Siedmiu kardynałów wraz ze swoją świtą, arcybiskupi, biskupi, prałaci, przełożeni zakonów, skierowali się ku ołtarzowi, otoczonemu przez dostojników urzędowych i magnatów przybranych w stroje narodowe.

Mszę św. odprawił kardynał-legat, a następnie wygłosił przemówienie, które zakończył następującemi słowami: „Zaiste, naród ten zasługuje na pełne błogosławieństwo niebieskie i na dobra tej ziemi, którą ma bronić". Gdy orszak Książąt Kościoła opuścił ołtarz, tłumy wznosiły radosne okrzyki na ich cześć a potem pochyliły się by otrzymać ich błogosławieństwo.

Członkowie kongresu eucharystycznego zgromadzili się na uroczyste zebranie; słowo wstępne wypowiedział po łacinie hr. Apponyi, wielki mówca i niestrudzony obrońca rzeczy świętych. Następnie przemawiał Mgr. Baudrillart, rektor instytutu katolickiego i in.; zgromadzenie to zakończyło się procesją Najświętszego Sakramentu, która odbyła się wieczorem na Dunaju. Wyszła ona z bazyliki św. Stefana i udała się nad Dunaj, gdzie w najpiękniejszym statku, przybranym aksamitem i kwiatami, zajął miejsce kardynał-legat niosący Przenajśw. Sakrament, w otoczeniu biskupów i duchowieństwa. Na znak dany przez wystrzał armatni, ośmnaście statków ozdobionych i oświetlonych, wiozących delegatów zagranicznych, dostojników urzędowych, członków różnych stowarzyszeń, dzieci i t. d. utworzyło w pośrodku rzeki wspaniałą procesję, która zaczęła płynąć ku wyspie św. Małgorzaty. Przepływając koło parlamentu, wspaniałej budowli gotyckiej, statki zatrzymały się i kardynał udzielił błogosławieństwa. Na obydwóch brzegach rzeki zgromadzone olbrzymie tłumy śpiewały pieśni religijne, grały różne orkiestry muzyczne, a z oddali dzwoniły radośnie dzwony. Kardynał legat kilkakrotnie udzielał błogosławieństwa. Po przebyciu mostu św. Gerarda, procesja zaczęła powracać; płonące w ciemnościach na obydwóch brzegach rzeki światła zdawały się być tysiącami małych gwiazd. Cała ta procesja posuwająca się majestatycznie środkiem rzeki, śpiewy wznoszące się ku niebu, i wszystkie tłumy kierujące swoje spojrzenia ku błyszczącej monstrancji pomiędzy niebem a wodą, składały hołd Chrystusowi.

Statek powrócił do miejsca, z którego wypłynął i w ten sam sposób uroczysty co przy rozpoczęciu, powróciła procesja przez ozdobione i oświetlone ulice do bazyliki, gdzie odśpiewano T e D e u m.

Nazajutrz jak przez wszystkie dnie poprzednie od świtu budziła mieszkańców muzyka grająca na ulicach. Było to święto św. Stefana, święto narodowe, ale także i święto religijne, polegające na uroczystej Mszy i procesji ś w i ę t e j r ę k i, cudownie przechowywanej ręki pierwszego króla Węgier, tej ręki, która poprowadziła naród węgierski do wiary katolickiej i przykuła go do niej tak silnie, że pozostała ona na zawsze niewzruszoną i jest nią jeszcze dotąd, zajmując w państwie to miejsce, jakie jej naznaczył, przed dziewięciu wiekami, król święty Stefan.

Ś w i ę t a r ę k a jest przechowywaną w zamku królewskim; w dniu święta św. Stefana, przenoszą ją uroczyście do kościoła koronacyjnego; w tym roku jednak ze względu na wązkie ulice Budy i na przewidywany

wielki napływ gości, przeniesiono relikwję do bazyliki św. Stefana, i tam odbyła się uroczystość tradycyjna.

Nabożeństwo odprawił kardynał legat, a po przemówieniu wygłoszonem przez kardynała Seredi utworzyła się procesja, w której wzięli udział wszyscy obecni. Witano radośnie pielgrzymów cudzoziemskich z ich sztandarami. Mieszkańcy prowincyj i wiosek przybyli w swoich strojach narodowych; a cechy, odnawiając starodawny zwyczaj, ukazały się w malowniczych kostjumach ze znakami swoich zawodów. Studenci i dzieci szkolne tworzyły niezliczone grupy, a muzyki wojskowe i chóry witały przechodzącą procesję przez bulwary, prowadzące do parku, gdzie wznosi się piękna kolumnada, okalająca pomnik tysiącolecia.

W pośrodku kolumnady wzniesiono ołtarz, na którym złożono relikwiarz zawierający świętą rękę; kardynał legat odmówił modlitwy i udzielił zebranym błogosławieństwa. Obok świętej ręki umieszczono jeszcze inne cenne relikwie jak relikwie św. Stefana i św. Emeryka, ofiarowane w XIV wieku przez króla Ludwika Wielkiego z domu Andegaweńskiego.

Gdy legat papieski i kardynałowie oddalili się, pielgrzymi, a potem tłum mógł oddawać cześć relikwiom. Promienne słońce nadawało całej tej uroczystości majestatyczny, ale zarazem i radosny wygląd.

Pozostawała jeszcze jedna ceremonja do wypełnienia, a mianowicie uroczystość odsłonięcia płyty marmurowej, umieszczonej w wielkiej sali parlamentu. Na płycie tej zostały wyryte niektóre rady dane przez św. Stefana swojemu synowi Emerykowi. Umieszczając tę pamiątkę w parlamencie, tym samym, gdzie uchwalane zostają prawa, chciano uczcić pamięć tych „rad", które były w pewnej mierze pierwszemi prawami nadanemi narodowi węgierskiemu; jak również umieszczono niegdyś te *rady* na początku kodeksu prawa węgierskiego, nie by je stosować jako prawa, ale by zaznaczyć ciągłość i trwałość praw. Uroczystość ta, w której wzięli udział kardynałowie, arcybiskupi, biskupi i wszyscy dostojnicy, wyróżniła się kilku przemówieniami rzadkiej piękności i wzniosłości.

La Croix.

DZIEŃ UNIWERSYTETU KATOLICKIEGO WE WŁOSZECH. W ciągu tegorocznego katolickiego Dnia uniwersyteckiego, zorganizowanego dla medjolańskiego uniwersytetu katolickiego Serca Jezusowego, zebrano w całych Włoszech przeszło 3 miljony lirów; cyfra ta przewyższa cyfrę zbiórki ubiegłego roku. Zamiar stworzenia z odbywającego się od kilku lat na uniwersytecie medjolańskim kursu dziennikarskiego, osobnego instytutu dziennikarskiego, zbliża się do urzeczywistnienia; kierownictwo tego instytutu ma objąć hr Dalla Torre, główny redaktor dziennika „Osservatore Romano", który stał dotąd na czele kursu.

WIARA I NAUKA.

O INTUICJI BERGSONA.

Z długiego szeregu artykułów ukazujących się w miesięczniku *Les Documents* przytaczamy wyjątek z pięknego studjum O. Munnynek. Omawia on z katolickiego punktu widzenia zagadnienie, które z pośród tych, jakie poruszył Bergson jest może najszerzej znane.

Nic trudniejszego i bardziej nieuchwytnego, jak poddanie filozofji Bergsona ścisłemu, rozumowemu badaniu. Rzeczywistości, uchwyconej przez „intuicję" nie można dowieść; można ją tylko stwierdzić i przeżyć. A więc ma się tu rzecz podobnie, jak gdyby chciano argumentować przeciwko istnieniu myśli, lub wątpić o swojem własnem wątpieniu. Jeden ze zwolenników filozofji Bergsona, twierdził ze spokojem, że o bergsonizmie nie można dyskutować; przyjmuje się go lub odrzuca „jakby jakiś poemat".

Nie sądzimy, by Bergson był specjalnie dumny z tej nienaruszalności, jaką mu przypisują niektórzy jego uczniowie. On sam dyskutuje i nawet w sposób bardzo ścisły o pewnych systemach filozoficznych: zaszkodził on naprzykład szczególnie materjalizmowi. Zresztą w własnym jego systemie znajduje się droga, wskazująca jak zdobyć fortecę. Intuicja, w jego myśli, jest czemś nieskończenie wznioślejszem od poznania rozumowego; by jednak była prawdziwie owocną, by mogła gwarantować pewną stałość, winna oprzeć się na wszystkich pewnych zdobyczach skromnego rozumu. Wynika stąd, że chociaż intuicji nie niszczy się ani analizą, ani rozumowaniem, nie może ona jednak pomimo to sprzeciwiać się zdobyczom intelektualnym. Zdobycze te posiadają więc prawdziwą wartość dla bergsonizmu, i mogą nawet być czynnikiem decydującym. Zatem dyskusja jest możliwą i pozwalamy sobie zacząć dyskusję.

„Intuicja" to metoda zasadnicza berg-sonizmu.

Psychologowie i filozofowie mówią wiele o „intuicji", używają jednak tego wyrazu w najróżnorodniejszych znaczeniach. Któż nie zna „metody intuicyjnej" Hegla, „iracjonalności" niektórych neo-kantystów, „Wesensschau" naszych współczesnych fenomenologów? Nie wchodząc w dyskutowanie teoryj, możemy z łatwością odróżnić przynajmniej pięć kategoryj intuicyj, a mianowicie:

1. Intuicję zmysłową, przy pomocy której spostrzegamy otaczające nas przedmioty bezpośrednio i spontanicznie, bez wszelkiego rozumowania. Tę intuicję cenią przedewszystkiem pedagogowie, a zajmują się nią również teoretycy poznania.

2. Można dalej mówić o intuicji imaginacyjnej. Niektóre „formy" ogólne naszych obrazów są ściśle określone; nie możemy się od nich uwolnić, a jednak jest rzeczą niemożliwą sprowadzić je do konieczności racjonalnej. Nasza przestrzeń „intuicyjna" jest trójwymiarową, niepodobna wyobrazić sobie jakąkolwiek rozciągłość o czterech wymiarach. Kant, widzący w przestrzeni „formę a priori" sensacji zewnętrznej, pojmuje ją tylko trój-

wymiarowo. A pomimo to jest jasnem, że niema żadnego koniecznego związku pomiędzy rozciągłością a trójwymiarowością. Matematycy ściśli przekraczają ją bez wahania; i z ich punktu widzenia, z punktu widzenia analizy intelektualnej, stanowisko ich jest niewzruszone.

3. Mamy dalej intuicję infra racjonalną. Od najdawniejszych czasów zdawano sobie sprawę ze zjawiska, że w umysłowości naszej tkwią czynniki tajemnicze. Odgaduje się i wyczuwa często jakąś prawdę, zanim zdoła się uświadomić ją sobie i dowieść. Posiada się *intuicję*, że tak właśnie być powinno; historja nauk podaje nam ciekawe przykłady tego dziwnego faktu. Inwencja, pierwszy krok ku inicjatywie intelektualnej, jest tak nieuchwytną i tajemniczą, że starożytni przypisywali ją jakiemuś „natchnieniu", lub działaniu jakiegoś „genjusza", i wyrazy te utrzymują się dotąd w naszym języku. Psychologja współczesna słusznie odrzuca podobne interwencje „boskie", musimy jednak przyznać, że nie wyjaśnia ona tego zjawiska dlatego, że nasze wyjaśnienia muszą sięgać do niedostępnych rozumowi dziedzin podświadomości. W każdym razie jednak, wynalazczość czyli „natchnienie" istnieje, i gdy jest niezwykle oryginalnem i płodnem, stanowi charakterystyczną cechę zjawiska, zwanego przez psychologów „genjuszem". Mówiąc teoretycznie, staje genjalny myśliciel często niespodziewanie wobec nowego ujęcia rzeczy, czy nowej syntezy, bez żadnego świadomego wysiłku ze swej strony i ten owoc bezpośredni jego stanów duchowych ma w sobie urok „prawdy subjektywnej". Owe wielkie natchnienia dostarczają naukom wspaniałych teoryj wyjaśniających, syntetyzujących ogromną liczbę faktów i stają się naturalnie punktem wyjścia późniejszych badań i dociekań. Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju „natchnienia" nie zawsze dają gwarancję „prawdy objektywnej"; dopiero stwierdzić je muszą ścisłe, długie i mozolne próby i doświadczenia. Wiele z nich nie wytrzymuje takiej próby, ale pomimo wszystko jest rzeczą wiadomą, że jeszcze przed wszelką czynnością racjonalną, posiadamy intuicję tego, co po ścisłem badaniu stanie się „prawdą objektywną", i to właśnie jest intuicją „infra-racjonalną".

4. Istnieje jeszcze inna intuicja, którą możnaby nazwać, pomimo pozornego paradoksu zestawienia tych wyrazów, intuicją racjonalną. Gdy rozmyśla się długo nad jakiemś zagadnieniem, i dochodzi wreszcie do określonych wniosków zapomocą rozumowania, często bardzo skomplikowanego, zagadnienie owo zdaje się rozjaśniać i upraszczać. Praca umysłu pogłębia się, i wydaje się, że całe wnioskowanie ukrywa się w podświadomości, a wniosek ukazuje się tak jasno, jak gdyby był faktem bezpośrednio stwierdzonym. Jest to rodzaj „intuicji racjonalnej", bo dochodzi się do niej przez wnioskowanie rozumowe. Mistrzowie życia duchowego, którzy nie będąc psychologami, posiadają jednak często wysubtelniony zmysł psychologiczny, mówią bardzo wyraźnie o tem zjawisku. gdy mówią o przejściu duszy od „rozmyślania rozumowego" do „kontemplacji".

5. Czy istnieje wyższa jeszcze forma intuicji? Czy można mówić o intuicji supra-racjonalnej? Sprawy te zdają się najwięcej zajmować Bergsona. Znamy dobrze „intellectus" św. Tomasza z Akwinu, zapomocą którego dosięgamy „intuicyjnie" pierwszych zasad i chociaż św. Tomasz z Akwinu nie czyni z tego „intellectus" jakiejś odrębnej władzy, uważa on jednak te

czynności intuicyjne za wyższe od aktów racjonalnych, gdyż zbliża je do intuicyj anielskich.

Dla nas tymczasem intuicja intelektualna pierwszych zasad jest tylko początkiem i formą ogólną pracy rozumowej; i staramy się odkryć intuicję, któraby dostarczała prawdy, niedosięgalnej dla samych aktów rozumu, a która jednak opierałaby się na pracy umysłu wznosząc się ponad jego wyniki. Czyż może być w tem znaczeniu intuicja supra-racjonalna? Oto kwestja najdelikatniejsza ze wszystkich! W tej dziedzinie trzeba się bronić przeciwko ciasnocie umysłowej z jednej strony, a z drugiej znowu przeciwko wszelkim despotycznym marzeniom.

Teorja poznania, doprowadzona do ostatnich krańców, odsłania nam dziwną i beznadziejną niemoc umysłu ludzkiego. Poznanie ludzkie nie jest, mówiąc ogólnie, wcale poznaniem. Nasz ideał poznania pozostanie zdaje się na zawsze niedostępny dla naszego rozumu. Stwierdzamy nasze ograniczenia, a więc w pewnej mierze je przekraczamy. W najwyższych wzlotach intelektualnych wynosimy się niejako aż do granicy naszego więzienia i spostrzegamy słaby odblask nieskończonego oceanu światła, dokąd się nie możemy puścić, dopóki dźwigamy ciężkie kajdany życia ziemskiego.

Jest rzeczą dowiedzioną, że wszystkie nasze ideje, nawet najbardziej abstrakcyjne, nawet najwznioślejsze, są nierozerwalnie związane z obrazami, a przez nie z porządkiem materjalnym. Rozum zaś ze samej swej natury wymyka się z pod ciężkości i surowości materji. Przezto, że rozum posiada pojęcie Bytu nieograniczonego i nieokreślonego, wznosi się aż do zdobycia całkowitej; rzeczywistości wszystko bowiem syntetyzuje się w Bycie i podlega zasadom wypływającym z niego. Rozum natury duchowej bada świat duchowy, który jest naturalną dziedziną wszystkich jej pragnień. Jakżeż jednak zdoła on odkryć całe bogactwo wyższego świata, gdy ciągnie za sobą ciężar obrazów zmysłowych, które bezwątpienia zapewniają jej równowagę, ale hamują też jej wzloty?

Człowiek musi posługiwać się obrazami świata zmysłowego, choć jest jednak zupełnie oczywistem, że nie są one w stanie odtworzyć nawet w przybliżeniu bogactwa i nieskończonej plastyczności wyższej rzeczywistości. By móc tej wyższej rzeczywistości dosięgnąć, choć w słabem odbiciu, musimy pomnożyć liczbę odpowiednich obrazów. Rozważamy w ten sposób świat duchowy jako funkcję przedmiotów zmysłowych, wiedząc wszelako, że w istocie swej jest on inny zupełnie od świata materjalnego, będąc zarazem w pewnej mierze podobnym do niego. Co jest własnością jednego, przypisuje się drugiemu, ale *proporcjonalnie*, z tak wielkiemi restrykcjami, że możnaby prawie duchowemu zaprzeczyć tych orzeczeń, których nam dostarczyło doświadczenie życia zmysłowego. Dochodzimy tak do tego, co starożytni, którym były te problemy daleko mniej obce niż przypuszczamy, nazywali „poznaniem przez analogię i proporcję".

Nietylko jednak pojęcia, które chwytamy bezpośrednio w obrazach, nie mogą nam dać ścisłej i dokładnej znajomości wyższej rzeczywistości, nietylko cała analogja proporcjonalności zmusza nas do przekroczenia pod pewnym względem „tak" i „nie" natychmiastowego poznania intelektualnego, ale w wielu wypadkach musimy wznieść się ponad kilka

analogij równoczesnych proporcjonalności, prowadzących do sądów analogicznych, pozornie sprzecznych. Musimy mnożyć obrazy, by się zbliżyć w ten sposób do bogactwa świata duchowego. Zdaje sobie dobrze z tego sprawę Bergson i dlatego bez żadnego wyszukania literackiego posługuje się językiem obfitującym w różne przenośnie i ozdoby literackie. Obrazy te jednak nie dadzą sprowadzić się do jedności, z powodu braku giętkości w ich przedmiocie materjalnym. Brak tym obrazom związku, a pojęcia jakie z nich wypływają, mogą też dla tego wydawać się pozornie nie do pogodzenia. Stają tu obok siebie dwie analogje proporcjonalności, a poglądy częściowe jakie nam podają o swoim przedmiocie, są tak ze sobą sprzeczne, że pomimo wszystkich wysiłków dialektycznych zdają się wykluczać wzajemnie na zawsze. Dotykamy tu głównej przyczyny odwiecznych dyskusyj, konfliktów różnych szkół filozoficznych, „problemów odwiecznych".

Znamy jednakże początek psychologiczny tych braków doktrynalnych. Poznanie analogiczne jest najwznioślejszem poznaniem, jakie możemy osięgnąć; słabe nawet odblaski wyższego świata, jakie ono pozwala nam uchwycić, są daleko cenniejsze dla wyższego życia człowieka, niż wszystkie wiadomości praktyczne o świecie materjalnym, dostarczane przez nauki doświadczalne. Uznajmy jednak, że ten *sposób* poznania jest opłakanie niedoskonały. Jesteśmy zawsze związani z ciałem przez nieodzowne obrazy. Wiemy, że są to pęta i więzy, które przeszkadzają nam wznieść się ku dojrzanym szczytom, gdzie wszystkie sprzeczności naszych znojnych dociekań znikną w jedności prawdziwej rzeczywistości. Wiemy o tem i uderzamy o granice, są one dla nas granicami. Czyż nie jest to już pewnym sposobem przekraczania ich? Czyż nie przypuszczamy, że poza „tak" i poza „nie" wiedzy analogicznej, poza jałowemi i denerwującemi dyskusjami szkół filozoficznych, znajduje się pełne światło, w którem rozpłyną się i znikną wszelkie sprzeczności?

Przypuszczamy to, wiemy o tem, i może pewne umysły uprzywilejowane, w szczęśliwych chwilach czystej spekulacji, dostrzegają w przelotnym błysku całkowite zlanie się sądów antynomicznych, które pozornie się do siebie sprowadzić nie dadzą. Wizja taka jest oczywiście niewysłowiona; gdyż by ją wyrazić odpowiednio, trzebaby zniżyć się do wielości rozumu i do skromnych obrazów słownych. Ci, którzy tego nigdy nie doświadczyli, zaprzeczą temu, a negacji tej, uprzywilejowani myśliciele będą mogli przeciwstawić tylko swoje własne przyświadczenie. Mamy tu do czynienia z czemś podobnem do „intuicji racjonalnej". Jak od „rozmyślania rozumowego" przechodzi się do „kontemplacji", zapomocą sprowadzania wielości do jedności, tak samo w tej intuicji „supra-racjonalnej" mnogość wniosków pozornie sprzecznych, łączy się razem w wyższej jedności. Hierarchja naszych czynności psychicznych, która jest tylko wznoszeniem się ku jedności, pozwala nam przynajmniej przypuszczać, że tam znajduje się szczyt naszej ewolucji intelektualnej; i świadectwa godne szacunku nie pozwalają nam odsunąć bez zbadania jej tej najwyższej intuicji. Czyż nie można jej zestawić z niektóremi zadziwiająco podobnemi twierdzeniami mistyków?

Oto przeróżne rodzaje intuicyj. Doszliśmy tak daleko, jak tylko pozwala ludzkie rozumowanie, aż do tej intuicji supra-racjonalnej, która może

będzie zagadkową dla wielu umysłów. Któraż z nich jest jednak intuicją Bergsona?

Jeśli weźmie się pod uwagę teoretyczne wskazówki tego filozofa, będzie to intuicja supra-racjonalna Stawia on ją ponad rozumem, a za przedmiot jej daje całość życia. Gdy jednak zbadamy, w jaki sposób Bergson posługuje się swą intuicją doznamy zewodu. Trzy jego główne dzieła obfitują w różnego rodzaju intuicje; są to jednak tylko intuicje infra-racjonalne. Jest to budowa nieporównanej zręczności, a także solidności, jakiej nie posiada wiele słynnych „hipotez wyjaśniających"; ale są one tylko syntezami hipotetycznemi, które potrzebowałyby racjonalnego udowodnienia.

Jeden fakt zwłaszcza musi uderzyć odnośnie do teorji poznania. Jedynym przedmiotem rzeczywistym intuicji bergsońskiej jest życie; cała filozofja Bergsona przedstawia się jakby synteza świata żyjącego; gdyż nawet to co jest martwe, czysta materja, uważaną jest tam jako brak życia. Dlaczego? Wszak rozum — który Bergson nazywa inteligencją pojęciową — staje wobec rozlicznych trudności i sprzeczności z których nie wszystkie pozostają w związku z życiem. Należy je usunąć. Wiele z nich znika podczas badania dialektycznego, gdyż nieraz te sprzeczności są zupełnie iluzoryczne. Jeśli są i rzeczywiste, można je rozwiązać tylko zapomocą „intuicji supra-racjonalnej"; nie znajdą one jednak rozwiązania w idei Życia, jako w idei niedostatecznie ogólnej.

Pogląd na życie Bergsona jest całkowicie monistyczny.

Monizm przesłonił Bergsonowi metafizyczną osobowość człowieka i skłonił go do odrzucenia prawa przyczynowości. Jego dynamizm radykalny nie pozwolił mu wniknąć głębiej w istotę bytu. I tu leży właśnie, naszem zdaniem, zasadniczy błąd bergsonizmu, który ubezwładnia i wyjaławia wspaniałą tę koncepcję.

Pomimo to Bergson pozostawi niezatarty ślad w historji filozofji. Lepiej niż ktokolwiek inny wykazał on niezaprzeczoną wartość a zarazem zasadniczą niemoc nauk przyrodniczych i matematycznych; unicestwił materjalizm, który wprawdzie od dawna nie miał już znaczenia w szkołach filozoficznych, ale nie przestawał nadal wywierać szkodliwego wpływu wśród mas ludowych; wykazał on również, że w arbitralnej doktrynie paralelizmu niema miejsca na zespolenie ducha z materją. Oczyścił cenne doktryny, jak naprzykład finalizm, z nieścisłych pojęć i poglądów, które podkopywały ich powagę.

Nie należy mniemać, że Bergson oddał tylko usługi negatywne. Zawdzięczamy mu cenne i trafne uwagi o stosunkach zachodzących pomiędzy ilością a jakością, o instynkcie zwierząt, o tem co podmiot, czyli „pamięć" przynosi przy zewnętrznem poznawaniu, o tendencji pragmatycznej licznych procesów umysłowych. Pozostawił on także analizy psychologiczne, których wartość pozostanie klasyczną.

I dlatego nawet przeciwnik jego zasadniczej doktryny musi pochylić z uznaniem głowę przed jego piękną twórczością filozoficzną.

GORĄCO POLECAJMY MATCE BOSKIEJ OJCZYZNĘ NASZĄ.

Z ZAGADNIEŃ PEDAGOGICZNYCH

Słowo wstępne.
O wysokiej godności macierzyństwa.
Wychowanie fizyczne.
O temperamentach.
O rozwijaniu pobożności.
Życie z wiary.
O miłości macierzyńskiej.
O żywem słowie.
O milczeniu.
O kłamstwie.
O prostocie.
O ładzie zewnętrznym i wewnętrznym.

Do nabycia w Rodzicielskim Związku Modlitw.
Kraków, ul. Franciszkańska 4.

Od Wydawnictwa.

Prosimy P. T. Prenumeratorów, którzy jeszcze nie uiścili prenumeraty, o łaskawe nadesłanie przedpłaty.
Prenumerata wynosi: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie.
Dla P. T. Nauczycielstwa prenumeratę zniżamy do połowy.
Konto czekowe P. K. O. Nr. 404912.

Za pozwoleniem Władzy Diecezjalnej.

Red. odp. i Wyd.: Zofja Włodkowa, Kraków, Pędzichów-boczna 5.